



ANDRZEJ W.  
SAWICKI

PIERWSZY  
GLINA

LITERATE

# Żołnierze miłujący

# I

Warszawa, grudzień 1807 roku

Zimowy dzień szybko się skończył i miasto pograżyło się w ciemnościach. Nadwiślańska dzielnica o francuskiej nazwie Joli Bord – przez miejscowych spolszczonej na Żoliborz – ze swoimi błotnistymi drogami i przysadzistymi dworkami, które były otoczone polami lub obszernymi ogrodami, sprawiała wrażenie bogatej wsi, a nie części znaczącego miasta. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy rezydował tu Napoleon Wielki, Warszawa piastowała funkcję stolicy imperium rozciągającego się na niemal całą Europę. Nocą jednak dzielnice otaczające Stare i Nowe Miasto zamieniały się w małe, przytulne wioski. Przynajmniej pozornie.

Pomiędzy lichymi chałupami i budami biedoty, sąsiadującymi ze szlacheckimi dworkami i pałacami arystokracji, przemykały pochylone postaci. Odkąd francuski rezydent-gubernator twardą ręką ukrócił pijackie rajdy po mieście swoich rodaków, warszawia-

cy mogli czuć się bezpiecznie. Wojsko zapanowało nad żołnierzami grasantami, ale nie interesowało się licznymi rabusiami działającymi pod osłoną nocy.

Trzech obwiesi w chłopskich kapotach i baranich czapach przemknęło wzdłuż grząskiej drogi, przeskoczyło nad rzeczka pełniącą funkcję rynsztoka i przycupnęło przy drewnianym płocie otaczającym niewielki pałacyk. Letnia rezydencja jednego z warszawskich bogaczy powinna być zimą zamknięta na trzy spusty i pilnowana jedynie przez stróża siedzącego w szopie na tyłach. Mimo to z wysokich okien parterowego budynku bił blask płonących świec. Obfita iluminacja oznaczała, że przygotowano pałacyk na przyjazd znacznego gościa. Faktycznie, z boku dziedzińca stała bogato zdobiona karetą. Dwa zaprzężone do niej konie miały pióropusze na łbach, a tkwiący sztywno na koźle stangret ubrany był we frak i pudrowaną perukę.

– Walim w łeb woźnicę i czyścim karetę? – spytał Jaśko, najmłodszy z przyczajonych nożowników.

– Żebyś ja cię w łeb nie wałnął – burknął Kolba, rosty przywódca bandytów. – Trza wpierw sprawdzić, kto jest w pałacu. Czuję, że to jakiś jaśniepan przyjechał na schadzka. Może z kurwą, może z jaką damą. Na jedno idzie. Widzi mi się, że jegomość przybył bez służby, jeno z woźnicą. Jeśli i dama przyjedzie ino ze stangretem, dostaniem na tacy dwa gołąbki. Wiecie, ile ci jaśniepaństwo mogą mieć przy sobie złota?

– A kurwa może być cała w klejnotach – rozmarzył się Jaśko i natychmiast zaliczył klepięcie w tył głowy, aż czapa nasunęła mu się na oczy.

– Oni będą się gzić, a my wpierw zrobimy woźniców, a potem ciach jaśniepaństwo po gardłach. – Kolba przedstawił krótki plan napaści, który został w milczeniu zaakceptowany przez Chromego, ostatniego z grasantów. Na Jaśka żaden z nich nie spojrzał.

Kolejno przesadzili płot i podpełzli wzdłuż bocznej ściany budynku. Przycupnęli na rogu, by widzieć dziedzińiec z kareta. Już po paru minutach z mroku wynurzyły się dwie kobyły ciągnące kanciastą remizę – tani powóz z budą, który można było wynająć w mieście. Na koźle siedział woźnica opatulony w kapotę z postawionym kołnierzem. Koła remizy zaryły się w błocie przed pałacykiem, a powóz się zatrzymał. Powożący nie kwapił się, by otworzyć drzwiczki pasażerowi. Te zostały pchnięte od środka, a z powozu energicznie wyskoczyła młoda kobieta w prostej sukience i zarzuconym na ramiona płaszczku z jasnego atłasu. Blask bijący z okien pałacu oświetlił jej okoloną modnymi loczkami młodą twarz o łagodnych, idealnie symetrycznych rysach.

Trzej bandyci zastygli w podziw. Dziewczę było wyjątkowo urodziwe, nawet jak na słynące z urody warszawianki. Panna rzuciła woźnicy monetę, ten złapał ją w locie, uchylił czapę na pożegnanie i trzasnął lejcami, zmuszając wychudzone kobyły do wyciągnięcia remizy z błota. Powóz ze zgrzytem kół znikł w ciemnościach. Dziewczyna stała chwilę na tle jasnych okien, zwrócona w kierunku karety. Patrzyła na nią – zdawałoby się – wyzywająco, a potem skierowała się do pałacyku i weszła przez uchylone drzwi.

– Ha, mówiłem, że jakiś jaśniepan będzie miał tu schadzkę – ucieszył się Kolba. – Miałem nosa, nie ma co! Ze mną nie zginiecie, chłopcy!

Wyciągnął zza pazuchy obdrapany bandolet, pamiętający chyba jeszcze czasy króla Augusta III. W garści Chromego pojawił się toporny buzdygan, a w ręku Jaśka rzeźnicki nóż. Młody bandzior poderwał się, ale ciężka ręka Kolby opadła mu na ramię i zatrzymała go w miejscu, gdyż wydarzyło się coś niespodziewanego.

Z karety wysiadło dwóch mężczyzn. Pierwszy był francuskim oficerem w mundurze z ciężkimi epoletami i dwurożnym kapeluszem na głowie. Kolba z radością zauważył, że żołnierz nie jest uzbrojony. Jeszcze ciekawszy był drugi z pasażerów – wysoki starszy pan w białej peruce. Nosił co prawda polski kozuch, ale na pierwszy rzut oka znać w nim było obcokrajowca. „Ani chybi francuski oficjalista” – domyślił się Kolba. Bogaty jak Radziwiłł, z ciężką sakiewką i w stroju wartym więcej pieniędzy niż grasant widział przez całe życie.

Mężczyźni stanęli przed kareta i zaczęli rozmawiać. Wyraźnie im się nie spieszyło. Peruka uśmiechał się z zadowoleniem, spoglądając na pałacyk. Oficer stał sztywno, sprawiając wrażenie spiętego. Tłumaczył coś oficjaliście, gestykułując dłonią w skórzanej rękawiczce. Kolba zaczął się niecierpliwić.

– We dwóch będą ją chędożyć? – mruknął Jaśko.

– Niechby i tam – burknął herszt złoczyńców, który zaczął się zastanawiać, czy nie zaatakować jegomo-

ściów już teraz, nie czekając, aż zdecydują się, który pierwszy będzie ujeżdżał dziewczę. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować. Lepiej cierpliwie poczekać.

– Zostań tu, Jaśko, i nie spuszczaaj ich z oka – zdecydował po kolejnych kilku minutach oczekiwania. – Ja z Chromym pójdziem sprawdzić drzwi wychodzące na tył pałacyku. Może tamtędy wejdziem do środka, załatwim dziwkę i wewnątrz zaczaim się na gagatków.

Młodzieniec próbował protestować, że znów zostawia się go na czatach i po raz kolejny ominie go to, co najciekawsze, ale dostał kolejny potężny cios otwartą dłońią w potylicę, więc pokornie nie ruszył się z miejsca. Przywarł do ściany w oczekiwaniu. Dwaj jego kompani rozplłynęli się w mroku.

Tymczasem dyskusja dwóch jegomościów zmieniła się w kłótnię. Oficjalista miał chyba dość wykładów oficera, bo zaczął mówić do niego podniesionym głosem. Jasiak był ciekaw, czy żołnierz strzeli upudrowanego dziadka w pysk, ale mundurowy położył uszy po sobie, a nawet uklonił się i zaczął przeproszać perukę. Ten machnął ręką i ruszył w kierunku budynku. Wreszcie! Młody bandyta schował nóż i zahuczał w złączone dłonie, naśladując sowę. Oficjalista szedł wężykiem, omijając kałuże, mimo to w połowie drogi ugrzązł w błocie. Aż po kostki zapadł się w breję. Oficer doskoczył do niego i wyciągnął pomocną rękę.

„Teraz można ich zaszlachtować jak dzieci” – pomyślał Jaśko.

Biały błysk rozdarł ciemności, jakby z nieba uderzył piorun. Dziedziniec był przez chwilę skąpany w ognistym blasku. Zaraz potem potężny, basowy huk wstrząsnął światem. Szyby pałacyku rozbryznęły się na miliony odłamków, zmieszanych z drzazgami z rozerwanych okien. Strzępy bryznęły na wszystkie strony razem ze strugami ognia, wyrzuconymi z budynku potężną eksplozją. Dwaj Francuzi runęli w błoto, ciśnięci wybuchem niczym zabawki. Konie wierzgnęły z kwikiem, sztywny stangret spadł z kozła na ziemię, łapiąc się za głowę.

Zaczajony grasant przywarł do ziemi, wbił w nią palce, wczepił się w błoto, jakby bojąc się, że wybuch, który już przebrzmiał, poderwie go w powietrze. Dopiero po dłuższej chwili odważył się unieść głowę i rozejrzeć. Francuzi gramolili się z błota, wokół nich leżała masa płonących odłamków. Z okien budynku waliły kłęby dymu, czuć było paloną siarką.

Młody bandyta leżał parę chwil bez ruchu, zbierając się na odwagę. Jego dwaj kompani, jeśli dostali się do środka, zamienili się w rozrzucone wokół krwawe strzępy, a za chwilę zlecą się tu ciekawscy z okolicy. Wybuch z pewnością postawił na nogi pół miasta. Jaśko poderwał się z ziemi, rzucił do panicznej ucieczki, przesadził jednym susem płot i pognął w ciemność.



# II

Oś dawnej jurydyki miejskiej, Bielina, stanowiła szeroka, choć niebrukowana ulica Marszałkowska. Mróz, który przyszedł nocą, nie zdążył porządnie ścierać błota, więc trakt, jak przez niemal całą jesień, był zupełnie rozjeżdżony kołami wozów, których odciski pokryły ulicę siecią bruzd i wypełnionych wodą zagłębień. Końskie łajno, które powinno zostać usunięte przez stróżów i służbę leżących wzdłuż arterii domów, zmieszało się z błotem w jedną śmierdzącą breję. Liczni o poranku przechodnie z braku chodnika przemykali wzdłuż budynków, starając się zbliżyć do nich jak najbardziej, by nie zostać obryzgni przez przebijające się przez bagno liczne wozy. Marszałkowska zawsze była ruchliwa, wszak prowadziła do rogatek Mokotowskich, gdzie łączyła się z traktem Czerskim i Krakowskim, więc mimo paskudnej pogody tętniła życiem. Nieustannie ciągnęły nią wozy kupieckie, chłopskie i wojskowe – z aprowizacją – które przybywały do miasta z południowych rejonów Księstwa.

Przez ciżbę, starającą się omijać błoto, szedł różnym krokiem postawny mężczyzna w sięgającej ziemi pelerynie z taniego płótna i w modnym, pluszowym cylindrze na głowie. Nic sobie nie robił z niedogodności, wszak jego ubranie i tak nosiło już liczne ślady intensywnego używania. Michał Ilnicki dobiegał trzydziestki, ale pełne gwałtownych doznań życie oznaczyło jego pociągłą twarz kilkoma bliznami i licznymi zmarszczkami, dodając mu i wieku, i powagi. Spodnie miał pocerowane, a drewniane podeszwy ledwo trzymały się butów na mocno porwanej szewskiej dratwie. W każdej chwili mogły zostać w błocie, pozbawiając ubogiego szlachcica jedynej osłony nóg. O zakupie nowego obuwia nie było mowy, bo pugilares pana Michała od dawna świecił pustkami.

Ilnicki, udając, że poprawia cylinder, obejrzał się przez ramię. Jakiś czas temu spostrzegł jegomościa w eleganckim fraku, podpierającego się laseczką, który szedł za nim aż od domu, w którym pan Michał pomieszkiwał kątem, korzystając z gościnności bratowej. Osobnik nadal go śledził, zdawałoby się niespiesznie idąc drugą stroną ulicy. Nie wyglądał na osiłka, którego mógł wysłać jeden z wierzycieli Ilnickiego. Po prostu elegancki jegomość w kwiecie wieku o skroniach całkiem wybielonych siwizną – żadne niebezpieczeństwo dla doświadczonego wojaka, mimo to jego uporczywa obecność budziła niepokój. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, pana Michała zmroziło przenikliwe spojrzenie jasnych, bardzo bystrych oczu. Szpicel? Ale czego chciał od oficera artylerii w stanie spoczynku, który

w Warszawie przebywał raptem od trzech miesięcy i jedyne, co zdążył zrobić, to przejąć długi po swoim świętej pamięci starszym bracie?

Ilnicki zszedł po schodach do drzwi sutereny w jednej z kamienic. W środku znajdował się lombard kierowany przez bardzo grzecznego żydowskiego lichwiarza. Weteran rozsznurował pelerynę i odpiął od pasa szablę wraz z blaszaną pochwą, pokrytą grawerunkiem o roślinnym ornamencie. Szabla pochodziła z mediolańskiego warsztatu mistrza Barisioniego, który wykonał ją z włoskiej, naprawdę porządnej stali. Miała solidną, choć pozbawioną ozdób rękojeść, za to pyszniła się pięknym kłębkiem. Stan ostrza, mimo wielokrotnego używania w boju, był całkiem przyzwoity. Po długich targach, które kosztowały pana Michała sporo nerwów, zastawił swoją ostatnią cenną ruchomość za kwotę stu dwunastu czerwonych złotych i piętnastu groszy w srebrze.

Wyszedł, czując duszący ciężar na piersi, gdzie w kieszeni trzymał pugilares. Jak żywym ogniem paliła go strata broni, wstyd wypłynął na policzki rumieńcami, zrosił czoło potem. Ilnicki musiał się napić, najlepiej mocnej gorzałki. Oto on, szlachcic o bitewnym doświadczeniu bez szabli u boku i szans na powrót do służby... Całe złoto zdobyte na wojennych wozach musiał oddać na pokrycie wierzycelności brata, a i tak nie starczyło na zwrot wszystkich długów. Na co mu teraz przyjdzie? Zajmie się kupiectwem? Zostanie oficjalistą? Czyli miałby się skalać prawdziwą pracą? Wszak to nie przystoi szlachcicowi!

Oparł się plecami o ścianę kamienicy i zamknął oczy. Czuł bijące z ulicy zapachy mokrej ziemi, koni i gnoju. Dobiegał go wielkomięjski gwar – przekleństw woźniców, okrzyki przekupki stojącej w bramie, śmiechy dzieci, zgrzyt kół i mlask końskich kopyt bijących w błoto. Kiedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed nim siwawy pan o jasnych, bystrych oczach. Ilnicki poczuł się, jakby osobnik oglądał go niczym konia na targu, szacował wartość, krytycznie lustrując znoszone ubranie, ale przede wszystkim zagładając w głąb duszy.

– Z kim mam przyjemność, jeśli łaska? – burknął oficer.

– Nazywam się Augustyn Gliński – odparł jego mość zaskakująco łagodnym i ciepłym głosem. – Pozwoli pan ze mną, kapitanie Ilnicki. Nie będziemy rozmawiali na ulicy. Nie mamy czasu, by zjeść porządne polskie śniadanie, ale kawkę chyba możemy wypić. Chodźmy, niedaleko, na Królewskiej, zimą urzęduje cukiernia Lessla, która zwykle mieści się w altanach ogrodu Saskiego.

Gliński odwrócił się i nie czekając, ruszył przodem. Pan Michał, ku swojemu zaskoczeniu, szedł za nim krok w krok, bez dyskusji i wahania, jakby właśnie usłyszał rozkaz wyższego oficera. Siwawy pan miał prawdziwie charyzmatyczną osobowość i potrafił podporządkować sobie ludzi jednym spojrzeniem lub kilkoma słowy.

Dotarli do cukierni i zajęli miejsca przy stoliku. Służący giął się w pół przed Glińskim, zachwalał

świeże pączki i biszkopty posypane cukrem rozartym z wanilią. Ilnicki rozsiadł się wygodnie, pewną miną markując zmieszanie i zaafierowanie niecodziennym spotkaniem. Po prawdzie nie miał dziś wiele do roboty, a poza spłatą długów nic go nie czekało, mógł więc wypić poranną kawę w towarzystwie jegomościa. Potem przyjdzie pora na zalanie się w trupa. Choć nie, resztę czerwieńców będzie musiał przekazać bratowej, Hani. Nie obudzi się zatem jutro z porządnym kacem, trzymając w ramionach śliczną warszawską dziwkę, ale znów wstanie trzeźwy jak niemowlę.

– Skąd pan mnie zna, drogi panie? – spytał, gdy wreszcie przyniesiono im kawę.

– Jestem policjantem, znam wszystkich w tym mieście – odparł jegomość i wbił zęby w obficie polukrowany pączek z kawałkami kandyzowanej skórki pomarańczy.

Pan Michał umoczył usta w obłędnie pachnącej kawie. Smakowała bosko, choć nie tak, jak w słonecznej Italii. Musieli dopiero co wypalić ziarna, a potem, polskim zwyczajem, wylali napar do tłustej, słodkiej śmietany. Pożywnie i zdrowo!

– Czym sobie zasłużyłem na zainteresowanie policji?

– Opinią doskonałego żołnierza, który wyróżnił się nienaganą służbą, a obecnie znalazł się w trudnej sytuacji – powiedział Gliński po otarciu ust chusteczką.

– Kształcił się pan w Szkole Głównej Artyleryjskiej, a w insurekcji walczył w stopniu oberfajerwerka, między innymi na szańcach warszawskiej Pragi. Potem

znalazł się pan w Legionach Polskich we Włoszech, w pierw jako porucznik artylerii u generała Aksamitowskiego. Bił się pan pod Terraciną, a w oblężeniu Mantui został kapitanem i dowódcą baterii. Niestety, wszedł pan w konflikt z dowódcą, mówi się, że poszło o kobietę. Po awanturze, w której ponoć omal nie doszło do rękoczynów, złożył pan dymisję i odszedł z armii.

– Nie jest pan dokładnie poinformowany – uśmiechnął się Ilnicki. – Doszło do rękoczynów, generał Aksamitowski dostał ode mnie w pysk. Miał jednak na tyle przyzwoitości, że nie kazał mnie rozstrzelać.

– Tym nie powinien się pan chwalić – konfidenjonalnie szepnął policjant. – Atak na przełożonego i skłonność do aktów agresji nie są okolicznościami, które mogą panu pomóc w trudnej sytuacji materialnej, w jakiej się pan znalazł. Szczególnie że droga do armii Księstwa Warszawskiego jest przed panem zamknięta właśnie przez ten nieszczęsny konflikt z generałem.

– Ten łobuz piastuje wysokie stanowisko u boku Poniatowskiego i ciągle o mnie pamięta. Przez tę świnię znalazłem się na bruku.

– Do trapiących pana problemów dochodzi nieszczęsna historia związana z pańskim bratem. – Gliński chwycił następny pączek i ugryzł solidny kęs. – Joachim Ilnicki, który odziedziczył wasz rodowy majątek, raczył cierpieć na przykrą przypadłość: umiłowanie hazardu...

– Kiedy ja biłem się o wolną Polskę, on przerznął w karty naszą ojcowiznę – spokojnie odparł pan Michał, choć na wspomnienie wyczynów brata krew mu się w żyłach zagotowała. – Diabli go chyba opętali, skoro nie potrafił się powstrzymać. Nie dość, że spieniżył wsie, ziemię, folwarki i tartaki, a złoto przehulał, to jeszcze narobił potwornych długów. Potem strzelił sobie w łeb.

– Większość długów pan spłacił – zauważył policjant – a mógł machnąć ręką i pozostać za granicą. Co pana powstrzymało przed tym, by wstąpić do armii francuskiej i kontynuować karierę?

– Jak to co? Brat zostawił żonę i trójkę dzieci. Ktoś musiał się nimi zająć, nikogo innego nie mają. Ale co to, u diabła, pana obchodzi? Coś się pan wpakował z kopytami w moje życie? Na co panu informacje o moich kłopotach rodzinnych i finansowych?!

Jegomość uśmiechnął się, dopił kawę, mlasnął z zadowoleniem i otarł usta jedwabną chusteczką ze złotym monogramem. Ilnicki w jednej chwili ochłonął. Spokój rozmówcy nieco go zmieszał.

– Porzucił pan szansę na karierę w armii, wygodne życie, by zająć się sierotami i dopełnić rodzinnych zobowiązań. Jesteś pan człowiekiem honoru, do tego uczciwym i po prostu przyzwoitym. Znasz się pan na wojennej robocie, jesteś wykształcony, posiadasz znajomość kilku języków, masz znajomości w armii i obycie. Właśnie kogoś takiego szukałem! – oświadczył policjant. – Wybierałem spośród kilku kandyda-

tów, ale okoliczności zmusiły mnie do przyspieszenia naboru. Niniejszym chcę panu zaproponować pracę...

– Proszę? – Oficer pochylił się, patrząc na Glińskiego z niedowierzaniem. – Znaczy, mam nocą patrolować ulice czy pilnować aresztantów w ratuszu? Wiesz pan chyba, że jestem szlachcicem?

– Raczy pan wybaczyć, ale cóż dziś znaczy szlachectwo? Większość szlacheckich klejnotów dawno straciła blask. Mnóstwo herbowej młodzieży przybywa do Warszawy i szuka jakiegokolwiek roboty. Zatrudniają się jako sekretarze, gubernanci, błagają o posadę w magistracie, choćby jako chłopcy do ostrzenia piór i napełniania kałamarzy. Nawet arystokracja wzięła się do zarobkowania. Zamoyscy i Potoccy budują kamienice czynszowe, inwestują w manufaktury, garbarnie i młyny. Dziś praca nie hańbi nawet tych najbardziej szlachetnych. Proponuję panu służbę w polskim urzędzie, jednym z najbardziej kluczowych dla sprawnego funkcjonowania państwa. Nie będziesz pan pilnował złapanych obwiesi, ale musisz być gotowym na zaniechanie się w świecie zbrodni i najgorszego plugastwa. Na służbę ciężką i nieustanną, ale za to szlachetną. Na walkę ze złem.

Siwawy mężczyzna przerwał, patrząc na pana Michała wyczekująco. Ten siedział sztywno wyprostowany i coraz bardziej zainteresowany nietypową ofertą pracy.

– Proszę kontynuować – bąknął. – Na czym polegałyby moje obowiązki?



– Policja Krajowa dopiero się rodzi, i to w ciężkich bólach. Przyznaję, że formując oddziały, działamy w pośpiechu, by zapanować nad zamieszaniem zostawionym nam przez Francuzów. Dotychczas pieczę nad służbami porządkowymi sprawował cesarski rezydent, dopiero kilka miesięcy temu utworzono polski rząd, a w jego składzie powołano do istnienia Ministerstwo Policji. Naszym bezpośrednim przełożonym jest minister Adam Potocki. Razem z hrabią Ledóchowskim pomagamy mu uformować szarżę, tworzymy skomplikowaną administrację, bo policja to nie tylko strażnicy więzienni, ale też rozbudowane struktury urzędnicze, nadzorujące dziesiątki zagadnień umożliwiających funkcjonowanie całemu państwu. Pan wybaczy, odbiegłem od tematu. Otóż uznałem za stosowne uformowanie w naszych strukturach Wydziału Policji Śledczej, przeznaczonej do tropienia sprawców najbardziej zagadkowych i poważnych zbrodni. Funkcjonariusze tego oddziału działają wtopieni w struktury miejskie, przenikają do środowiska przestępczego. Proponuję panu stanowisko śledczego, dowódcy formacji. Pana obowiązkiem będzie prowadzenie śledztwa przy wykorzystaniu powierzonych agentów i raportowanie mi postępów na bieżąco. Rozumie pan, jestem kimś w rodzaju generała, który potrzebuje zdolnego oficera liniowego. Chcę, by pan nim został.

Ilnicki siedział dłuższą chwilę w milczeniu. Właściwie oferta Glińskiego była niczym dar niebios. Co prawda nie padły żadne obietnice finansowe, ale

stanowisko oficera policji z pewnością gwarantowało konkretne wpływy i dawało stabilizację finansową, której tak bardzo potrzebował. Poza tym służba w mundurowej formacji podobna była do służby w armii i nie należała do zajęć hańbiących szlachcica.

– Kiedy zaczynam? – spytał krótko.

– Natychmiast. – Pan Augustyn wstał od stolika i skinął na służącego. – Dziś w nocy miała miejsce niezwykła zbrodnia. Byłem na miejscu jeszcze przed świtem i kazałem postawić na miejscu warty. Powinni już tam dotrzeć pozostali śledczy, pańscy podwładni. Chodźmy dokonać oględzin, przekażę panu śledztwo, kapitanie.

Nie kłopotał się regulowaniem należności, widocznie miał tu otwarty rachunek. Służący, zgięty w pas, otworzył im drzwi i życząc miłego dnia, wypuścił na zewnątrz.

– Kim pan właściwie jest w policji, panie Gliński? Jak mam się do pana zwracać?

– Piastuję stanowisko sekretarza generalnego Dyrekcji Policji Krajowej. Chłopcy często tytułują mnie szefem, ci bardziej oficjalni – waszą ekscelencją, natomiast warszawiacy, szczególnie młodzi i pochodzący z nizin społecznych, nadali mi przydomek od nazwiska.

– Jaki, jeśli można spytać?

– Glina.

# III

Jazda odkrytym powozem o tej porze roku nie należała do przyjemności, a należący do magistratu pojazd Glińskiego pozbawiony był chroniącej przed wiatrem budy. Ilnicki musiał momentami trzymać cylinder, by ten nie odleciał w dal. Jego przełożony nic sobie nie robił z porywów wiatru.

– Byle tylko nie zaczął sypać śnieg, bo zakryje wszelkie ślady na miejscu zbrodni – odezwał się pan Michał.

– Ech, tym pan się martwić nie musi. Nocą na teren posiadłości wdarł się cały tłum gapiów, którzy zupełnie rozdeptali ślady mogące należeć do przestępców. Do pałacu dostała się kupa ludzi, niby po to, by gasić pożar. Moi chłopcy złapali kilku gągatków, próbujących wynosić ocalałe z wybuchu bibeloty.

– Hm. Wiemy przynajmniej, kto padł ofiarą?

– Jeszcze nie. Trudno było się doliczyć. Rozumie pan, wybuch zrobił tam prawdziwą jatkę.

Powóz zwolnił przed bramą zdewastowanej posiadłości na Żoliborzu. Gliński pozdrowił machnięciem

ręki pilnującego wjazdu mężczyzną w mundurze z niebieskimi spodniami, po których odróżniano warszawskich policjantów od żołnierzy. Wjechali na dziedziniec przed zniszczonym pałacym. Budynek przetrwał wybuch w jednym kawałku, nawet dach się nie spalił. Ilnicki doszedł do wniosku, że ocaliły go wysokie okna, przez które uwolniła się siła eksplozji, nie naruszając konstrukcji. Teraz otwory okienne ziały czernią niczym oczodoły w okaleczonej twarzy.

Pan Michał wyskoczył z powozu jako pierwszy, niecierpliwie pragnąc jak najszybciej dokonać oględzin. Po miesiącach bezczynności aktywność, jakże miło kojarząca się z bojową, bardzo dobrze mu robiła. Znowu poczuł się potrzebny i na swoim miejscu. Mógł działać – co więcej, dla dobra społeczności. Ruszył rażno, sadząc susy nad kałużami, ale zatrzymał się już po kilku krokach, bo drogę zastąpiły mu dwa wielkie psiska. Bestie stanęły kilka kroków przed nim i choć nawet nie warczały, ich postawa i napięte mięśnie nie wróżyły niczego dobrego. Jeden ziewnął nerwowo, prezentując imponujący zestaw zębisk, mogących jednym Chapmanem rozerwać gardło jeleniowi lub zadusić dzika. Strach pomyśleć, co mogły zrobić z człowiekiem.

Świeżo upieczony policjant wyciągnął przed siebie dłonie w uspokajającym geście. Wiedział, że nie powinien patrzeć w ślepie potworów, bo sprowokuje je do ataku. Zaczął mamrotać pod nosem:

– Dobrze pieski, dobre. Chodźcie do mnie, powąchajcie mnie, jestem porządnym człowiekiem.

Gliński stanął obok niego i z kieszeni fraka wyciągnął fajeczkę oraz woreczek z tytoniem. Spokojnie zaczął nabijać cybuch.

– Gdzie wasz pan, pchlarze? – zwrócił się do psów.  
– Szaja! Chodź no tu, człowieku! Zabierz te bydłeta!

Zza rogu pałacyku wyszedł wysoki mężczyzna w rozpiętym chałacie. Nosił niewielką owalną czapkę i krótką, starannie przystrzyżoną bródkę oraz długie pejsy. W garści ścisnął zwinięte rzemieńne smycze. Na widok przybyłych uśmiechnął się i uchylił jarmułka.

– Poznaj, kapitanie, swego pierwszego śledczego, Szaję Appenzlaka. Dawniej pracował jako szkolnik żydowskiego syndyka. Dobry tropiciel, do tego zna wszystkich sklepikarzy i kramarzy w mieście.

Żyd trzepnięciem rzemieni o udo odwołał psy, które natychmiast zignorowały przybyłych i merdając ogonami, pobiegły między drzewa okalające dziedziniec. Ilnicki wyciągnął rękę i uściśnął żylastą dłoń Szai, zaskakująco silną, a do tego czystą. Pan Michał słyszał co nieco o szkolnikach – żydowskich policjantach, którzy jeszcze za króla Stanisława działali w mieście. Zajmowali się ściganiem i łapaniem Żydów pozostających na terenie Warszawy bez pozwolenia, a przy okazji polowali na wszelkiego autoramentu złodziejów i rzezimieszków. Słynie z skuteczności i sprawności, ale ich formację zlikwidowano już jakiś czas temu, kiedy pozwolono wreszcie Żydom legalnie osiedlać się w obrębie miasta.

– Coś znalazłeś? – bez zbędnych wstępów spytał sekretarz generalny.

– Aj waj. Setki śladów, jakby tędy przemaszerował cały Żoliborz. – Tropiciel wzruszył ramionami. – Ale za to z błota wygrzebałem coś takiego. Skórzana rękawiczka. Porządna robota, z delikatnej, cielejącej skórki, ale wcale nie damska. Nie wiem, czy który kuśnierz w Warszawie umie zrobić coś tak ładnego.

Wręczył rękawiczkę Glińskiemu, a ten przekazał ją panu Michałowi. Kapitan obejrzał uwalaną błotem część garderoby. Musiała należeć do majątnego jegomościa, nic więcej wywnioskować z jej oględzin nie umiał.

– Psy ją obwąchały, ale nie chwyciły tropu – dodał Szaja. – Poza tym nic ciekawego nie znalazłem, w błocie walają się jeno odłamki.

– Proszę je zebrać i zgromadzić w jednym miejscu. Chcę wszystkie obejrzeć – rozkazał Ilnicki.

Żyd nie dyskutował z głupim, wydawałoby się, rozkazem. Bo co może być ciekawego w nadpalonych i potrzaskanych kawałkach okiennych framug? Skinął tylko głową i oddalił się bez słowa.

– A niech to, nie mam czym przypalić fajeczki. Ech, nieważne. – Schował nabitą fajkę do kieszeni. – Podsumujmy, co na razie mamy. Koło północy okolicą wstrząsnął silny wybuch. Kiedy na miejsce przybyli policjanci z komendy cyrkułu, zastali ludzi przyglądających się płonącemu pałacykowi. Pożar szybko ugaszono, nie zajęły się zabudowania gospodarcze ani dach. Wewnątrz i częściowo na dziedzińcu znaleziono fragmenty rozerwanych nieszczęśników lub jednego nieszczęśnika, w środku zaś jeszcze dwóch

gagatków. Do tej pory nie udało się ich zidentyfikować. Nie znaleźliśmy też ani jednego żywego świadka wybuchu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Wezwano właściciela pałacyku lub jego rodzinę? Może ci rozpoznają zabitych?

– Otóż w tym cały szkopuł, drogi panie Ilnicki! Posiadłość należała do pewnego bogatego kupca, który zmarł bezpotomnie pięć lat temu. Zgodnie z testamentem nieruchomość przejął magistrat miejski. Jako że podczas panowania pruskiego Warszawa mocno się wyludniła, pałacyk stał pusty i niszczał, jak wiele podobnych mu rezydencji, a ogród spokojnie porastał chwastami. Dopiero gdy do Warszawy ściągnął cesarz Napoleon ze swoją armią, budynek znalazł zastosowanie. Nie było pana wtedy w Polsce, ale pewnie pan słyszałeś, że nasze niemal wymarłe miasto zmieniło się z dnia na dzień w Paryż Północy. Z cesarzem zważyło się nam na głowy sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a do tego tłumy oficjeli, jakich to miasto jeszcze nie widziało. Wszystkie wolne nieruchomości zajęło wojsko, a te bardziej wystawne przekazaliśmy do dyspozycji sztabu Wielkiej Armii. W pałacyku mieszkali prawdopodobnie oficerowie. Nawet kiedy Napoleon wyjechał z Warszawy i sytuacja nieco się uspokoiła, posiadłość pozostała we francuskich rękach. Nie wiemy, kto i kiedy z niej korzystał, a nawet nie sposób tego ustalić. Jeszcze dziś zwrócę się w tej sprawie do sztabu marszałka Davouta, ale czy będzie łaskaw nam odpowiedzieć, trudno zgadnąć.

– Czy możliwe, że ofiarami są Francuzi? – zapytał Ilnicki.

– Wtedy już mielibyśmy tu tłumek zabojadów, a na razie żaden się nie pojawił. Szybko jednak zorientują się, że w ich posiadłości wydarzyło się coś dziwnego, dlatego jak najprędzej musimy dowiedzieć się, co tu się stało. Dlaczego, pyta pan? Gdyż kiedy rezydent francuski zapyta o to ministra policji, ten musi znać odpowiedź. Rozumiesz pan, kapitanie? To sprawa polityczna. Wtedy udowodnimy naszym gościom, że jesteśmy w stanie sami sobą rządzić i panować nad porządkiem we własnej stolicy. Jeśli ten wybuch miał być atakiem na Francuzów, musimy znaleźć sprawców jako pierwsi. My, warszawska policja.

– Rozumiem, panie Gliński. Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

Weszli do budynku głównymi drzwiami i znaleźli się w sieni, której podłoga zdeptana została dziesiątkami ubłoconych butów. Przeszli krótkim korytarzykiem, by znaleźć się w głównym salonie. Pan Michał z wrażenia wciągnął głęboko powietrze. Jeszcze dwie godziny temu myślał, że spędzi spokojny, nudny dzień na włóczędze po mieście, a teraz stał w środku krwawego pobojuwiska. Jakby w jednej chwili z sennej cukierni przeniósł się na pole bitwy.

Dzienne światło wpadało przez wielkie dziury, które kiedyś były oknami, doskonale oświetlając wszystkie szczegóły masakry. Ściany poharatane zostały odłamkami i obficie zbryzgane krwawymi szczątka-



mi, do tego osmalone późniejszym pożarem. W wielu miejscach tynk odpadł całymi płatami, na podłodze razem z gruzem walały się potrzaskane, częściowo spalone meble. Ściana naprzeciw okna oberwała najbardziej, w kilku miejscach przecinały ją wyraźne pęknięcia i ziała w niej dziura, przez którą widać było korytarz. Do tego wszystkiego w powietrzu unosił się odór spalenizny, w którym dominował smród spalonego mięsa i siarki. Trupy i proch – aromaty typowe dla pola bitwy.

Ilnickiemu rzucił się w oczy kominek, w którego palenisko wybuch wbił jakiegoś pechowca. Ciało zapaliło się od płonących bierwion i częściowo spłonęło. Zostały po nim poczerniały kadłub i niemal zupełnie nietknięte pożarem nogi z brudnymi bosiymi stopami. Przy szczątkach kucał chudy jegomość w wieku pana Michała, ubrany w czarny frak. Kiedy odwrócił się w stronę przybyłych, okazało się, że nosi opaskę podtrzymującą przy jednym oku urządzenie optyczne z kilkoma rozsuwanymi szklami powiększającymi. Było czymś w rodzaju rozbudowanego monokla, umożliwiającego zmianę soczewek. Mężczyzna – o chorobliwie bladej skórze, z jednym okiem nienaturalnie powiększonym przez szkło i umazany na czole krwią i sadzą – wyglądał wręcz upiornie.

Kilka kroków obok rozgarniał nogą rupiecie wielkolud z dziobatą gębą pokrytą bliznami po ospie i czyrakach. Ten nosił się z polską, na ramionach miał jasną chłopską kapotę, a na głowie przekrzywioną

czerwoną konfederatkę obszytą czarnym barankiem. Wyglądał niczym kosynier Kościuszki.

– To pozostali śledczy, kapitanie. – Pan Augustyn zaprezentował policjantów. – Doktor Tytus Ritter, warszawski Niemiec, w czasie panowania pruskiego funkcjonariusz gestapo, oraz Roch Gogiel – za insurekcji kościuszkowskiej służył dzielnie w milicji magistrackiej.

Były gestapowiec odłożył trzymane w dłoni szcypce, którymi dłuwał w szczątkach zabitego, i podał rękę. Ilnicki skinął mu głową i uśmiechnął się lekko, ale po powitaniu z trudem powstrzymał się przed wytarciem dłoni o spodnie. Ritter wydał mu się oślizły i odrażający. Przykre wrażenie potęgowały jego wąskie, zaciśnięte usta, na których chyba nigdy nie gościł uśmiech. Pan Michał ciekaw był, jakim cudem Niemiec ocalał z pogromów, które warszawiacy urządzili pruskim funkcjonariuszom po wygnaniu szkopów z miasta. Ponoć większość pruskich policjantów i szpicli zadyndała na gałęziach oraz szubienicach lub zaliczyła nóż pod żebro. Pewnie Ritter znalazł się pod opieką sekretarza generalnego, który z jakiegoś powodu nie dość, że go ochronił, to w dodatku zdecydował się zatrudnić w polskiej policji.

Gogiel mimo paskudnej gęby budził znacznie więcej sympatii. Kipiał energią i radością życia widocznymi w błyszczących, wesołych oczach. Ścisnął mocno dłoń kapitana i potrząsnął nią energicznie, a przy tym uśmiechnął się szeroko, prezentując imponujący zestaw zepsutych zębów. Ilnicki pamiętał, że milicja magistracka pełniła funkcje porządkowe i śledcze w czasie

powstania kościuszkowskiego, a wywodziła się z miejskiej biedoty. Jej funkcjonariusze słynęli z deprawacji i braku dyscypliny, ale za to walczyli jak stado diabłów i podczas obrony miasta okazali niezwykle bohaterstwo.

– Wiemy coś więcej niż o świecie? – spytał krótko Gliński.

– Pewno, szefie. – Roch potrząsnął głową. – Było tu trzech ludzi. Jednego rozerwało na kawałeczki, mniejsze niż skrawki mięsa w zupie rumfordzkiej. Drugi wylądował w kominku, a ostatni – wbity w szafę.

Wskazał na potrzaskany, osmalony mebel, z którego faktycznie wystawały gołe nogi jakiegoś człowieka.

– Czemu tych dwóch było na bosaka? – zainteresował się pan Augustyn. – Przyleźli tu w zimę bez jakichkolwiek łapci? Czy może obrobili ich ludzie „ratujący” dobytek z pożaru?

– To akurat jestem w stanie wyjaśnić – odezwał się Ilnicki, podchodząc do ostatniego trupa. – Ludzie poderwani i ciśnięci siłą eksplozji mają w zwyczaju wypadać z obuwia. Nawet ze sznurowanych lub mocno obcisłych, sięgających za kolana i przeznaczonych do konnej jazdy botów. Często w czasie ostrzału, gdy znaleźliśmy się pod ogniem wrogiej artylerii, zdarzało się, że kanonierzy po prostu znikali, ale zwykle w miejscu, w którym stali, zostawały po nich buty. Zupełnie nietknięte.

– Co pan powie... – Gliński pokręcił głową. – Zdziwiający zjawisko, ale skoro twierdzi pan, że to niemal prawidłowość...

– Ta informacja stawia to znalezisko w ciekawym świetle – odezwał się Ritter i sięgnął po leżący w kącie worek. – Mam tu co ciekawsze eksponaty, które udało mi się wydobyć z ciał i znaleźć w pomieszczeniu. Myślałem jednak, że te buciki po prostu wypadły z szafy i co najwyżej mogły dać nam jakąś informację o osobach zamieszkujących pałacyk. Stały o, tutaj, jeśli dobrze pamiętam.

Ułożył dwa damskie botki z cienkiej skórki niemal na środku pomieszczenia, naprzeciw dziury ziejącej w ścianie. Czubki obuwia skierował w stronę okien.

– Oho, tego się obawiałem – westchnął szef. – Jedną z zabitych była kobieta. To tłumaczy porozrzucane jasne skrawki, które pewnie były jej suknią. Rochu, weźmiesz buty i obejdiesz z nimi co lepszych szewców. Spróbuj ustalić, w jakim warsztacie zostały wykonane. Może uda się dowiedzieć, do kogo należały.

– Ha! Pójdę od razu do Kilińskiego – zadudnił wielkolud, biorąc buciki i pakując je do kieszeni. – On zna wszystkich majstrów szewskich w mieście.

Ilnicki pochylił się nad trupem w szafie. Zabity miał okrwawioną, mocno pokierszowaną odłamkami pierś. Z podartego ubrania sterczały kawałki połamanych żeber i wbitych w ciało drzazg. Tak jak osobnik w kominku, przetrwał w jednym kawałku, ale tylko on z poszkodowanych miał niemal nieuszkodzoną twarz. Rękę zaciskał na rękojęści starego bandoletu.

– Nie dajcie mi, łaskawi panowie, skończyć meldunku. – Roch podszedł do trupa. – Wiem, kto to

jest, szefie. To Kolba, syn złodzieja z Nowego Miasta. Stary łachudra i złodziej. Za młodu chodziliśmy razem na robotę, a potem żeśmy służyli w milicji. Rzucił jednak ten fach, kiedy nie pozwolili nam rabować trupów w czasie bojów o miasto. Znikł mi ostatnio z oczu. Myślałem, że już dawno go powiesili albo dostał w łeb, jak to wśród andrusów bywa.

– Po spodniach sądząc, ten spalony był podobnej mu proveniencji – zauważył Gliński. – Mamy zatem dwóch warszawskich bandziorów i kobietę w butach mogących należeć zarówno do szlachcianki, jak i akсамitki spod barbakanu. Dlaczego wszakże kobietę rozerwało na maleńkie kawałeczki, a tych dwóch nie?

– Wydaje mi się, że to znalezisko może nam coś powiedzieć – powiedział doktor Ritter i z worka z dowodami wyciągnął kawał wygiętego żelastwa. – Niech pan kapitan łaskawie spojrzy, bo wydaje mi się, że to kawałek armatniej kuli.

Ilnicki wziął do ręki znalezisko. Żeliwo pokryte było czarnym śluzem, jak się szybko okazało – krwią lub wnętrznościami. Pan Michał domyślił się, że Prusak wyciągnął je z trupa. Doktor natychmiast się zreflektował i mamrocząc po niemiecku przeprosiny, podał oficerowi szmatkę do wytarcia rąk.

– Jeśli panowie pozwolą, przedstawię swoją wizję wydarzeń, do których tu doszło – powiedział gestapowiec. – Kobieta stała na środku pomieszczenia, przy stole, z którego nic nie zostało prócz śladu po nogach w podłodze. Dwaj obwiesie znajdowali się po dwóch

stronach salonu. Jeden wszedł tymi drzwiami i stanął przed kominkiem, drugi wszedł drugimi. Skąd takie indywidua się tu wzięły? Może byli opiekunami dziwki, którą tu właśnie wprowadzili?

– Francuzi sprowadzili sobie dziewczynkę z rynsztoków Starego Miasta? – prychnął Roch. – Bajdurzysz pan, doktorku. Ci, co mieszkają w pałacach, nie takie dzierlatki ryćkają.

– Nie przeczę, mogę się wszak mylić, stawiam jedynie hipotezy. – Prusak wzruszył ramionami. Zdjął z twarzy uprząż z soczewkami i mechanicznie zaczął je przecierać szmatką odebraną z rąk Ilnickiego. – Nie wiem, skąd i po co się tu wzięli, odłóżmy to na razie. Wracając do wydarzeń, dziewczyna stała w tym miejscu, tyłem do stołu, zwrócona do okien. W tym momencie padł strzał. Armatni. Kula wleciała przez okno i trafiła prosto w kobietę lub minęła ją i eksplodowała za jej plecami, na ścianie. To mogła być bomba zapalająca lub granat z kartaczami, prawda, panie kapitanie? Większą część energii wybuchu przyjęło ciało kobiety, dlatego uległo całkowitemu zniszczeniu.

Gliński spojrzał pytająco na pana Michała.

– Co pan na to?

– Niewykluczone. – Oficer pokiwał głową i uniósł odłamek. – To żeliwo faktycznie pochodzi ze specjalnej amunicji artyleryjskiej – z kuli, która była wypełniona ładunkiem, czyli z granatu. Sądząc po rozmiarze, musiała pochodzić co najmniej z armaty dwunastofuntowej lub z obłązniczego moździerza. W drugim przypadku trafienie przez okno byłoby niemożliwe, bo moździerze

służą do strzałów pod dużym kątem, ich kule przelatują ponad murami i spadają. W pierwszym przypadku w okolicy musiałyby pojawić się kilkunastu artylerzystów do obsługi armaty, łącznie z zaprzęgiem sześciu koni do jej ciągnięcia. Poza tym podejrzewam, że tak potężne działo ugrzęzłoby w błocie.

– Mhm. – Sekretarz generalny skinął głową. – Do tego wszystkiego musieliby strzelać z dziedzińca lub z ulicy przez otwartą bramę. Po co ktoś miałby robić coś takiego? To bez sensu.

– Skąd zatem rozerwana kula? – spytał Ritter.

– Ktoś ją tu przyniósł – spokojnie odparł Ilnicki. – Leżała na stole, pomiędzy kobietą a ścianą. Tylko nie jestem pewien, czy jeden pocisk mógł wyrządzić aż tak duże szkody. Może granatów było kilka?

– Ale dlaczego wybuchły? – dociekał doktor.

– Kobieta mogła podpalić lont zapalnika któregoś z nich. Odwróciła się i zrobiła krok w kierunku okna. Granat eksplodował i *arrivederci*. – Pan Michał uniósł cylinder i podrapał się po głowie. – Nie wiemy tylko, dlaczego to zrobiła.

W dziurze okna pojawiła się brodata twarz Szai. Żyd wskoczył do środka. W wyciągniętym ręku, niczym trofeum, trzymał worek.

– Ta joj! Zebrałem co się dało, kapitanie – oświadczył. – I w samą porę, bo przy bramie pojawili się francuscy kirasjerzy. Franek pewno zaraz ich wpuści, musicie się pospieszyć z oględzinami.

– Bierz fanty i znikaj.

Stateczny pan Gliński w jednej chwili zaczął się ruszać zwawo jak młodzik. Zabrał z ręki Ilnickiego odłamek, wrzucił go do worka, w którym zgromadził dowody doktor Ritter, i podał sakwę Szai. Żyd schował obydwie tłumoki pod połami chałatu, ale nadal go nie zapinał, chyba po to, by nie krępować sobie ruchów. Ukłonił się obecnym i ruszył chyłkiem do tylnego wyjścia.

Niemal w tej samej chwili od głównych drzwi dobiegło łomotanie wojskowych buciorów. Do środka wpadło kilku kirasjerów w hełmach z imponującymi pióropuszcami i w charakterystycznych, błyszczących półpancerzach chroniących piersi. Prowadził ich oficer w dwurożnym kapeluszu i mundurze z ciężkimi epoletami oraz sztywno postawionym kołnierzem, niemal wbijającym się w policzki. Na oko dobiegał czterdziestki, za to miał młodzieńczo błyszczące oczy.

– Witam – powiedział po francusku. Obrzucił zgromadzonych uważnym spojrzeniem, szukając dowodzącego policjantami. Oględziny trwały dwa uderzenia serca, potem żołnierz zwracał się już tylko do Glińskiego, ignorując pozostałych. – Jestem generał Charles Morand. Przejmuję budynek i wszystko, co się w nim znajduje. Nie muszą już panowie kłopotać się tym incydentem, sprawą zajmie się Wielka Armia.

– Miło pana poznać, generale. – Siwowłosy ukłonił się nieznacznie, jednak panowie nie podali sobie rąk. Oficer nie zamierzał kłaść honoru popospolitowaniem się ze stróżem prawa. – Jestem prawnikiem i urzędnikiem w zarządzie policji, chciałbym zatem nalegać



na możliwość uczestniczenia w wyjaśnieniu tego dziwnego zdarzenia. Polskie prawo gościnności zostało tu złamane, ktoś zaatakował naszych drogich przyjaciół pod warszawskim dachem. Wydaje się, że udział polskiej policji w śledztwie jest nieodzowny.

– Doprawdy, jesteśmy wdzięczni, a ja osobiście wręcz wzruszony waszym zaangażowaniem i gotowością do działania. – Francuz uśmiechnął się szeroko i, zdawałoby się, szczerze. – Niestety, musimy potraktować ten wypadek jako wewnętrzną sprawę Wielkiej Armii. Przywykliśmy do prania własnych brudów samodzielnie, pan rozumie, armia ma swój kodeks i przepisy. Proszę odwołać ludzi i opuścić teren.

– Nie wydaje mi się, by była to tylko wasza wewnętrzna sprawa. – Gliński odpowiedział uśmiechem. – Zginęły tu trzy osoby, z których jedną udało nam się już rozpoznać. Odkrycie tożsamości pozostałych to kwestia czasu, a wygląda na to, że cała trójka była obywatelami Warszawy. Łącznie z zabitą kobietą...

Generał spoważniał, jego twarz ściągnął grymas gniewu, a może bólu, Ilnicki nie był w stanie tego stwierdzić. Na wszelki wypadek stanął u boku zwierzchnika, by dodać mu otuchy. Ritter starał się wtopić w ścianę i niemal mu się to udało, natomiast nierozumiejący rozmowy, ale widzący zmianę w zachowaniu Francuza Gogiel przesunął się i ustawił z drugiej strony szefa. Na tę demonstrację poparcia jeden z kirasjerów położył dłoń na rękojeści rapiera, groźnie strzygąc wąsiskami.

– Gdzie jest jej ciało? – zimno spytał Morand.

– Obawiam się niestety, że wszędzie. Znalazła się pod wpływem głównej fali wybuchu.

Oficer w jednej chwili się rozluźnił. Jeszcze raz obrzucił pomieszczenie wzrokiem, nie spoglądając na policjantów.

– Mieszkańcy Warszawy są obywatelami sprzymierzonego z Francją księstwa, a zatem możemy ich traktować jako podopiecznych cesarza. Zależy nam na ich bezpieczeństwie i znalezieniu winnych ich niefortunnej śmierci – przemówił. – I dopilnujemy, by incydent został wyjaśniony, obiecuję to panu. Policja dostanie od nas stosowny raport ze śledztwa. A teraz proszę opuścić teren, natychmiast.

Gliński skłonił się i ruszył do wyjścia, a za nim jego trzej śledczy.

– Dziękuję za służbę, panowie. – Uśmiechnął się do nich, gdy stanęli przed jego powozem. – Zabierzcie kapitana Ilnickiego do warsztatów, niech się rozgości. Ja muszę wracać do pałacu Saskiego, do pracy urzędniczej. Prześlę posłańcem dokumenty dla pana, Ilnicki, razem z kwotą z funduszu mundurowego i służbową bronią. Aha! Proszę kupić sobie buty.

Pan Michał spojrział na swoje wysłużone obuwie. Podeszwa prawego właśnie ostatecznie się oderwała i but ział rozwartą paszczą.

– Chyba udam się z Rochem do szewca Kilińskiego. – Kapitan skinął głową.

– Dobrze. Obawiam się, że dziś już się nie zobaczymy, bo wieczorem mam kolację u pana Bogusław-

skiego, dla którego tłumaczę sztukę. A potem, oczywiście, wizytę w teatrze, rzecz nieodzowną – dodał pan Augustyn, ładując się do powozu.

Zmarznięty woźnica zaciął konie i powóz ruszył, z mlaskiem tnąc kołami błoto. Glina pomachał swoim śledczym na pożegnanie i pogrążył się w rozmyślaniach.

Pierwszy Glina  
Copyright © Andrzej W. Sawicki  
Copyright © Wydawnictwo Literate  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover by Grzegorz Araszewski  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-345-5  
epub ISBN 978-83-7995-346-2  
mobi ISBN 978-83-7995-347-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Artur Szejter  
Korekta: Małgorzata Tarnowska  
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Projekt okładki: Grzegorz Araszewski  
Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@literate.pl](mailto:sekretariat@literate.pl)  
[www.literate.pl](http://www.literate.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)



## FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

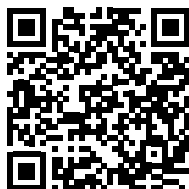
Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

*Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.*

Michał Chmielewski, autor *Złe* i *Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE





## PANACEUM AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

*Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozbawieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty. Przy tej książce zapomina się o całym świecie.*  
**Hanna Greń**, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

DRUGI TOM SERII MIASTO OBIECANE





ZŁE

MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

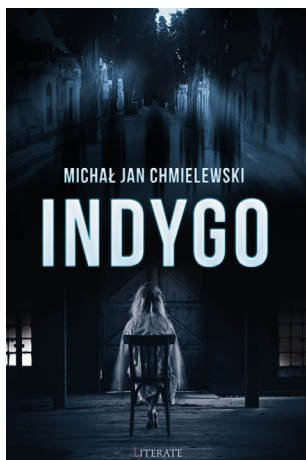
*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili,  
a zło zatriumfuje – Edmund Burke*

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziliby się tej opowieści.





## INDYGO

### MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

W Baskin Zachodnim dzieci znikają bez śladu niemal od zawsze. Uciekają z domu czy są uprowadzane? Żyją czy umarły? Nikt nie wie, jaki spotykał je los.

Nikt prócz Kusaka. Sadystycznego seryjnego mordercy, który je porywa i w bestialski sposób morduje. Równie wiele przyjemności jak torturowanie ofiar sprawia mu gra jaką prowadzi z lokalną społecznością i policją. Psychopata na co dzień przybiera różne maski: wzorowego obywatela, sympatycznego sąsiada, wolontariusza zaangażowanego w pomoc rodzinom ofiar. Karmi swoje ego ich cierpieniem, bezradnością i łatwowiernością. Czuje się bezkarny.

Los stawia jednak na jego drodze nietypowych przeciwników. Dwoje nastolatków połączonych tragedią i wspólnymi tajemnicami odkrywa, jaki los spotyka zaginione dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to wysoką cenę. Być może zbyt wysoką?

*Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!*

